

WOJCIECH ŁĄCZKOWSKI

Dziekan Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w latach 1978–1981

WSPOMNIENIA BYŁEGO DZIEKANA

Dziekanem Wydziału Prawa i Administracji UAM byłem w latach 1978–1981. Domyślałem się, że w dużym stopniu przyczynił się do tego mój poprzednik prof. Henryk Olszewski. Cieszył się on dużym autorytetem nie tylko w społeczności wydziałowej i kierownictwie Uniwersytetu, ale także w ówczesnych władzach publicznych. Jako dziekan koncentrował się na poziomie naukowym wszystkich pracowników Wydziału oraz na sprawach ich etyki w działalności dydaktycznej. Mam mało skromną nadzieję, że te dwie sprawy powodowały, iż chciał on, abym został jego następcą. (Ci, którzy mnie bliżej znają, wiedzą, jak lubię mocno podkreślać, że pod względem skromności i pokory nie mam sobie równych).

Moja dziekańska kadencja przypadła na czas wielkich zawirowań politycznych. W centrum imperium widoczna była „odwilż” związana z tzw. pierestrojką, a w Polsce coraz śmielej organizowały się różne siły opozycyjne. Ujawniały się one także wśród pracowników akademickich, a jeszcze wyraźniej wśród studentów. Kulminacją były ruch społeczny Solidarność oraz Niezależne Zrzeszenie Studentów. Wydział Prawa nie był pod tym względem wyjątkiem. Nie mam natury rewolucjonisty, ale też nie chciałem ukrywać moich sympatii do owych sił opozycyjnych. Okoliczności te powodowały, że do przejętych po moim poprzedniku dwóch podstawowych zadań (dbałość o poziom naukowy oraz etyka w działalności dydaktycznej) musiałem dodać trzeci element związany z nową, bardzo napiętą sytuacją polityczną. Sytuacja ta przenikała bowiem zarówno do sfery aktywności naukowej, jak i dydaktycznej. Moje wspomnienia ograniczę dlatego do tych trzech dziedzin, ilustrując je kilkoma przykładami.

Działalność naukowa to oczywiście domena wszystkich członków społeczności akademickiej, ale decydujący wpływ na poziom naukowy całej uczelni czy poszczególnych wydziałów mają profesorowie. Na Wydziale Prawa w tamtym czasie działali profesorowie różniący się pod wieloma względami, np. różniły ich „szkoły”, z których się wywodzili. Niektórzy byli bezpośrednimi uczniami wybitnych przedwojennych profesorów prawa, przybyłych do Poznania nawet ze Lwowa, z Uniwersytetu Jana Kazimierza. Niektórzy mieli innych mistrzów lub byli samoistnymi autorytetami. Dzielili ich także sprawy światopoglądowe i przekonania polityczne. Różny był stosunek do ustroju państwa lub metod sprawowania władzy. Niestety różnice te często powodowały nierówne traktowanie niektórych osób, bez względu na ich osiągnięcia naukowe. Obejmując

funkcję dziekana, zetknąłem się z takimi przypadkami. Przypomnę tylko dwa, pamiętając oczywiście o wielu innych wcześniejszych przykładach, takich jak chociażby sprawa prof. Edwarda Taylora, wybitnego uczonego związanego z moją dziedziną naukową.

Pierwsza sprawa dotyczy śp. prof. Karola Mariana Pospieszalskiego, znanego badacza sytuacji prawnej na terenach Polski wcielonych do III Rzeszy Niemieckiej – między innymi jest twórcą wielotomowego, unikatowego zbioru *Documenta Occupationis* szczegółowo dokumentującego tamte dzieje. Był postacią wyróżniającą się prawością charakteru i rzetelnością wszelkich działań, jakich się podejmował. Nie był jednak entuzjastą ówczesnego ustroju politycznego, a ponadto jego brat mieszkał w Londynie i pracował w rozgłośni polskiej radia BBC, co władze traktowały jako poważne przestępstwo. Zapewne dlatego okazywano niechęć wobec aktywności naukowej Profesora Pospieszalskiego, zwłaszcza przy podejmowaniu przez niego prób kontaktów z ośrodkami badawczymi na zachodzie Europy. Omijały go różne, „standardowe” w środowisku akademickim, nagrody i wyróżnienia. Szykaną było pozbawienie go funkcji kierownika Katedry na rzecz mało znanego, ale bardzo zaangażowanego politycznie młodego profesora przybyłego z Lublina. Na początku mojej dziekańskiej kadencji przypadał moment przejścia Profesora Pospieszalskiego na emeryturę. Mimo różnych nieformalnych sugestii, a nawet nacisków, chciałem, aby odbyło się to w sposób dający mu poczucie, że większość członków Rady Wydziału docenia go i jest mu życzliwa. Nie byłem tego całkowicie pewny, więc z zaskoczenia ogłosiłem na posiedzeniu Rady Wydziału laudację, studentów poprosiłem o wręczenie ogromnego bukietu kwiatów. Dzisiaj byłby to mały, niewiele znaczący gest, ale wtedy był ważny. Dowodem tego były późniejsze pretensje zgłaszane pod moim adresem. Cieszyło mnie jednak to, że Profesorowi sprawiłem przyjemność, wzruszył się i miał łzy w oczach. Odczuwałem satysfakcję tym większą, że kończąc studia, konsultowałem z nim moją pracę magisterską, pisaną na temat prawa karnego na polskich terenach wcielonych do III Rzeszy (Warthegau). Zachowania wobec Profesora Pospieszalskiego były małostkowe i żenujące, a ponadto zatruwały entuzjazm badawczy jego współpracowników.

Drugi przypadek jest jeszcze bardziej drastyczny i dotyczy blokowania należnego awansu naukowego śp. prof. Zbigniewowi Janowiczowi. Od wielu lat moi poprzednicy na stanowisku dziekana występowali o nadanie mu kolejnego tytułu naukowego, tj. profesora nadzwyczajnego. Spełniał on wszelkie warunki formalne i merytoryczne, miał odpowiednią ilość publikacji pozytywnie opiniowanych przez kompetentnych recenzentów. Sprawa wciąż była wstrzymywana. W gronie zaprzyjaźnionych kolegów postanowiliśmy dokonać przełomu, przeskoczyć jeden stopień awansowy i wystąpić o tytuł profesora zwyczajnego. Przy dobrej woli pozwalała na to odpowiednia interpretacja obowiązującego wówczas prawa. Rada Wydziału większością głosów wniosę taki przyjęła i podjęła stosowną uchwałę. Był to jednak dopiero pierwszy krok. Sprawa musiała jeszcze uzyskać aprobatę Senatu UAM oraz przejść przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną w Warszawie. Już kilka minut po zakończeniu Rady Wydziału zatelefonował do mnie rektor, twierdząc, że doprowa-

dzilem do skandalu, gdyż uchwała Rady jest bezprawna i mam bezzwłocznie doprowadzić do jej unieważnienia. Oczywiście odmówiłem, na co podniesionym głosem zażądał, abym natychmiast się u niego stawił. Zrobiłem tak, ale dopiero po kilku godzinach, późnym popołudniem. W gabinecie rektorskim czekało kilka osób. Wysłuchałem dłuższej tyrady, w czasie której padały bardzo ostre, może nawet niecenzuralne, słowa pod moim adresem i zarzuty wobec doc. Janowicza. Zarzucano mu m.in., że „tępi aparat partyjny”. Odpowiedziałem, że mam bardzo dobrą pamięć i na najbliższej Radzie Wydziału postaram się bardzo dokładnie odtworzyć przebieg tego spotkania, bo przecież dotyczy ono uchwały tejże Rady. Podziało to na uczestników, złagodzili ton, zapewniając, że też chodzi im o dobro doc. Janowicza. Rozstaliśmy się, nie dochodząc do żadnego porozumienia.

Uznałem jednak, że sprawa nie jest poufna, więc poinformowałem o wszystkim doc. Janowicza, a w szczególności o zarzucie „tępienia aparatu partyjnego”. Wyjaśnił, że zapewne chodzi o egzamin na studiach zaocznych, który zdawało u niego kilku wyższych funkcjonariuszy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu. Na egzamin przyszli pewni siebie, całkowicie nieprzygotowani. Docent Janowicz, znając ich pozycję polityczną, nieco lękał się wyprosić ich za drzwi, wpisując do indeksów ocenę niedostateczną. Poprosił ich tylko o ponowne przyjście i lepsze przygotowanie. Sprawa powtórzyła się jeszcze dwukrotnie. W końcu egzamin zaliczyli. Uznałem takie postępowanie doc. Janowicza za więcej niż życzliwe wobec prominentnych studentów, a zarzut o ich tępieniu – za bezpodstawny. Wystosowałem więc odpowiedni wniosek do Senatu UAM i przygotowałem bardzo wnikliwe uzasadnienie. Jeszcze na pół godziny przed rozpoczęciem obrad Senatu proszono mnie o wycofanie wniosku („dla dobra zainteresowanego”). W tajnym głosowaniu członkowie Senatu niemal jednogłośnie, tylko przy kilku głosach przeciwnych, podjęli pozytywną uchwałę. A więc drugi etap zakończył się pomyślnie.

Sprawa jednak miała dalszy dramatyczny – a może groteskowy – przebieg. Zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami oryginalne akta sprawy przesłałem do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej w Warszawie. Teoretycznie funkcje tej Komisji dotyczyły jedynie sprawdzenia, czy spełnione zostały wymogi formalne, a następnie przekazania sprawy do podpisu przewodniczącemu Rady Państwa (nie było urzędu prezydenta RP). Naiwnie byłem więc spokojny o dalszy los sprawy. Mijały jednak tygodnie i miesiące bez jakiegokolwiek reakcji. W końcu udało mi się skontaktować telefonicznie z przewodniczącym Komisji. Beztrąsko oświadczył, że sprawie nie może nadać biegu, ponieważ cała dokumentacja uległa zabrudzeniu, jest cuchnąca i nieczytelna. Dał do zrozumienia, że akta w drodze do Warszawy prawdopodobnie wpadły do jakiegoś zbiornika z fekaliami. Na pytanie, jak zamierza ten problem rozwiązać, odpowiedział, że musi dysponować czytelnymi oryginałami dokumentów, wobec tego całą procedurę należy powtórzyć. Rzadko mi się to zdarza, ale chyba użyłem kilku wulgaryzmów, nie ukrywając, co sądzę o jego postawie. Był to profesor prawa, więc zdawał sobie sprawę z groteskowości swojej propozycji. Wycofał się z niej i uznał, że w zaistniałej sytuacji wystarczą kopie dokumentów. Natychmiast je dostarczyłem i wreszcie sprawa została pomyślnie za-

kończona. Warto ją przypomnieć, gdyż dobrze ilustruje ówczesny mechanizm kontrolowania sfery nauki.

Nawiązując do drugiej dziedziny będącej przedmiotem mojego szczególnego zainteresowania jako dziekana Wydziału, przedstawię sprawę dotyczącą etyki działalności dydaktycznej. Prodziekan ds. studiów stacjonarnych prof. Anna Michalska poinformowała mnie, że kilku asystentów usiłowało sfalszować wyniki egzaminu wstępnego. Chodziło o czterech pracowników, których opiekunem był, mocno zaangażowany politycznie, wspomniany profesor, który przejął kierownictwo Katedry po prof. Pospieszalskim. Sporządziłem odpowiednie pismo z przytoczeniem dowodów i przekazałem rektorowi w celu wszczęcia postępowania dyscyplinarnego i zawiadomienia organów ścigania o prawdopodobieństwie popełnienia przestępstwa. Mijały dni i tygodnie. Nic się w sprawie nie działo, więc zacząłem monitować rektora. Zapewniał mnie, że wszystko przebiega zgodnie z trybem urzędowym i prosił, żebym się w tej sprawie zachowywał bardziej powściągliwie. Czulem, że chodzi o wyciszenie sprawy, dlatego nie ustępowałem. Po pewnym czasie zaczął odwiedzać mnie ów profesor. Najpierw łagodnie sugerował, abym ograniczył się do pouczenia sprawców fałszerstw (też byli aktywnymi działaczami PZPR), a następnie, abym przestał interesować się tą sprawą. Po mojej odmowie przyszedł w towarzystwie jakiegoś pana i w bardzo agresywnym tonie nawiązał do tej sprawy. Nie wytrzymałem i – być może zbyt brutalnie – wyprosiłem go z pokoju dziekańskiego. Było to pod koniec mojej kadencji. Krótco po tym wprowadzono stan wojenny i nie miałem możliwości dalszego śledzenia tej sprawy. Wiem jedynie, że sprawcy całego zamieszania nie są już pracownikami Wydziału. Także ta sprawa dobrze ilustruje klimat i uwarunkowania, w jakich funkcjonował ówczesny dziekan.

Wreszcie trzecią dziedziną, do której – zgodnie z zapowiedzią – chciałbym nawiązać we wspomnieniach starego dziekana, jest sytuacja polityczna tamtych czasów. Wprawdzie wpływała ona na wspomniane wyżej sfery nauki i dydaktyki, ale materializowała się także w postaci wydarzeń czysto politycznych. Miały one miejsce również na Wydziale Prawa, więc nie mogły ominąć dziekana. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, w burzliwym okresie rodzących się ruchów społecznych, dochodziło do strajków studenckich. Protestowali także studenci prawa. Zwrócili się do mnie o pomoc. Oddałem do ich dyspozycji dużą salę wykładową (salę kolumnową w Collegium Iuridicum), gdzie spędzali dni i noce. Ojców dominikanów prosiłem o opiekę duchową. Ojciec Tomasz Aleksiewicz odprawiał tam nawet mszę św. Przy pomocy chętnych członków Rady Wydziału, najczęściej prof. Zygmunta Ziemińskiego czy prof. Stanisława Sołtysińskiego, organizowaliśmy tam różne spotkania pokazujące więź łączącą „profesurę” ze studentami w tych trudnych i groźnych czasach. Bardzo spektakularnym wydarzeniem była organizowana przez studentów tzw. sesja katyńska. Miała się odbyć na terenie Wydziału, w największej sali dydaktycznej, tj. w sali XVII Collegium Minus. Rektor kilkakrotnie nazywał mi odwołać tę sesję. Przewrotnie pytałem, dlaczego sam tego nie robi, przecież jest odpowiedzialny za cały Uniwersytet. Nachodzili mnie panowie z komitetu uczelnianego partii, powołując się na Komitet Wojewódzki PZPR. Inni straszili nawet interwencją konsula ZSRR w Poznaniu. Byłem pod presją

jakichś dziwnych telefonów. Szczęśliwie zjawił się w Poznaniu znany działacz opozycyjny z Warszawy – Wojciech Ziemiński. Dobrze go znałem, więc zwierzyłem mu się ze swoich kłopotów i poprosiłem o radę. Uśmiechnął się filuternie i poradził, żebym zastosował fortel Zagłoby polegający na odwróceniu kota ogonem. Mam więc odpowiadać tym wszystkim smutnym panom, że skoro tak niepokoi ich tematyka katyńska, tzn. że są przekonani co do tego, że mordu na polskich oficerach dokonali Sowieci. Przecież w przeciwnym razie nie mieliby powodów do obaw. W zapowiedziach sesji nie wskazywano sprawców. Posłużyłem się tym argumentem. Myślę, że moi rozmówcy w duchu uznawali mnie za idiotę, ale oficjalnie trudno im było takiemu rozumowaniu zaprzeczać. Sesja się odbyła, sprawców katyńskich nikt nie ukrywał, studentom nic się nie stało, a mnie, po przeprowadzeniu dłuższej rozmowy ostrzegawczej, dano spokój.

Opisane wyżej wydarzenia są tylko przykładami ilustrującymi moje wspomnienia z ciekawych czasów, w jakich przyszło mi pełnić funkcję dziekana. Niekiedy zazdroszczę tym, którzy piastują podobne urzędy w normalnych warunkach, tj. w praworządnych, demokratycznych państwach prawa. Nie żałuję jednak niczego, ale też nie tęsknię do tamtych zdarzeń. Moja kariera dziekańska sprawiła mi dużą satysfakcję. Używając metafory akademickiej, uważam, że w tamtych skomplikowanych czasach społeczność wydziałowa w zdecydowanej większości, mimo wspomnianego zróżnicowania, zdała pomyślnie egzamin. Moją satysfakcję zwiększa jeszcze to, że po upływie kadencji, w 1981 r., w wolnych wyborach powierzono mi funkcję prorektora UAM. Wprawdzie pełniłem ją tylko przez kilka miesięcy (po wprowadzeniu stanu wojennego złożyłem rezygnację), ale zaufanie społeczności uniwersyteckiej jest dla mnie dużą wartością.

Wojciech Łączkowski

